№ 19 WARSZAWA, DNIA 10 MAJA 1913 ROKU ROK III

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

JAN POWALSKI.

W GRODZIE ŻAKÓW.

Ciąg dalszy.

Żacy odrazu zbadali całe otoczenie, zobaczyli, gdzie jest stajnia, gdzie składy, gdzie psy na uwięzi, gdzie piwnica. Gdy tak oglądali wszystko, ujrzeli siedzącego na ganku wysokiego i grubego, dorodnego młodzieńca, jak się im przyglądał z wielkiem zdziwieniem i niemal przestrachem, ale mimo to nie ruszał się z miejsca.

Pietrek trącił Hieronima:

— Patrz-no, jak się ten nam dziwuje.

— Musi być tutejszy.

— A właśnie raczej obcy, skoro nie wie, żeśmy teraz tutejsi.

I postąpiwszy ku młodzieńcowi, spytał go:

— A co tu robisz, młody panie?

Ten poczerwieniał, chciał odpowiedzieć, ale się zająknął, zaciął i ze srogo zmarszczonemi brwiami krztusił:

— Ty... ty... ty...

Był to syn wdowy Agnieszki z pierwszego małżeństwa, Kasper. Miał on ten błąd przyrodzony, że gdy się rozgniewał, zaczynał się jąkać i nie mógł ani słowa wyrzec, dopóki z gniewu nie ochłonął. Matka, widząc tę jego właściwość od dzieciństwa, sądziła, że gdyby go wiele uczono na pamięć wierszy i przemów, możeby to ten jego błąd jakoś załagodziło. Dała go więc za poradą przyjaciół na naukę do kościoła św. Florjana na Kleparzu. Tam go wyuczono bardzo dobrze służyć do mszy i śpiewać wszystkie psalmy i hymny, które są w użyciu przy nabożeństwach. Ale niezupełnie mu to pomogło, bo choć w kościele nigdy w niczem się nie zająknął, zato w domu po staremu, ilekroć w gniew wpadł, odrazu słowa mu stawały dęba w gardle i tylko oczyma straszliwie toczył, nic nie mówiąc, krztusząc się i srożąc nadaremnie, aż póki czego kościelnego sobie nie przepowiedział. Teraz też tak było, aż, nie mogąc głosu dobyć, nagle krzyknął:

— Beatus vir, qui timet Dominum! — (co znaczy: błogosławiony mąż, który się boi Boga, jak się zaczyna jeden psalm). To mu zaraz ulżyło i jął łająć:

— Precz mi, kuglarze! Czego tu łazicie? Czego upatrujecie? Precz!

Żacy patrzyli na niego, jak na nadzwyczajne dziwowisko, nie ruszając się z miejsca.

Wtem wybiegła wdowa, jego matka i zaczęła mu wyjaśniać, że przyjęła tych żaków na mieszkanie, bo izby stoją pu-

ste po czeladnikach. On znowu się zaciął, tak że nic powiedzieć nie mógł.

Żacy tymczasem usunęli się z przed ganku, widząc czeladnika, który na nich kiwnął. Słyszał on ich rozprawę z Kasprem, i gdy podeszli, opowiedział im, jaką właściwość miał Kasper, gdy się rozgniewał.

— To dziwadło!—zawołał Pietrek ucieszony. — I cóż, zawsze-li tak psalmy zaczyna, kiedy chce łajać?

— Nie zawsze, czasem i ze mszy sobie co powie.

Pietrek, słysząc to, cieszył się, jakby jaką rzadką zwierzynę ugonił.

Poszli się zapisać i zaczęli chodzić na wykłady. Były wtedy cztery wydziały na uniwersytecie: wydział sztuk i filozofji, czyli artes, prawo, medycyna i teologja. Najpierw trzeba było przesłuchać wydziału artium. Potem zdawało się bakalaureat, i wielu na tem poprzestawało. Inni zaś szli potem na któryś z trzech pozostałych wydziałów.

Na wydziale artium uczono astronomji, matematyki, geometrji, filozofji, łaciny i greki, i objaśniano pisarzy dawnych, łacińskich. Profesorowie tam uczący zwykle byli najubożsi i ledwie nieraz wyżyć mogli. To też radziby wszyscy co rychlej przejść na profesorów teologji. To był wydział najwyższy i najbogatszy. Dochodziło się zaś do niego tylko według dawności służby — sami starcy. Ci teologowie rozdzielali między siebie tłuste beneficja, które posiadał uniwersytet, do nich należały dochody kapituły św. Florjana na Kleparzu. Należeli oni do kollegjum, zwanego większem, collegium maius, od czego i nazywali się kolegami większymi, collegae maiores. Ubodzy profesorowie kollegjum mniejszego, koledzy mniejsi, czasem dostawali się na uroczyste obiady kollegjum większego. Wtedy sadzano ich na ostatniem miejscu; ale oni i tak umieli cenić zaszczyt, który ich spotkał, a zresztą wiedzieli, że kiedyś i oni przejdą na owe pierwsze miejsca, gdy ci, co na nich teraz siedzą, umrą.

Wydział prawny i kollegjum prawnicze, czyli iuridicum, znajdowało się na Grodzkiej ulicy, tam gdzie dzisiaj jest stary budynek, zawsze jeszcze tak zwany, choć już nie prawo w nim się mieści.

Medycyna zwykle słabo stała. Wykłady jej odbywały się w różnych salach kollegjum większego.

Trzej żacy, zapisawszy się, oczywiście chodzili na wykłady najniższe. Ale Hieronim wnet się przekonał, że niedość umie łaciny, i przeniósł się do parafialnej szkoły Wszystkich Świętych. Znał ją, bo tu Stach mieszkał w bursie, a także chodził tu mały Jerzy z Pienian, który ich pierwszy w Krakowie prowadził przez miasto.

Rektorem tej szkoły był Kantor przy kościele WW. Świętych. Krótko on trzymał swoich uczniów, którzy go przezywali Łyskiem z powodu łysiny, ale bali się, bo był pochopny do kija.

W izbie szkolnej, natłoczonej żakami, ciasno siedzącemi na długich ławach, przechadzał się Łysek, groźnie spoglądający, z giętkim kijem w ręku. Żacy obkuwali przepisy Katonowe, pouczające ich o przeróżnych obowiązkach, cnotach i przygodach życia. Trzeba było umieć Katona moralne zdania na wyrywki, po łacinie. Aby to lepiej uczniowie rozumieli, dodali mądrzy magistrzy i polskie krótkie wiersze, które także trzeba było znać na pamięć.

— Pax, djablęta, pax! — powtarzał grubym basem magister, chodząc tam i z powrotem, gdy jeden uczeń recytował zdania Katona.

— Ej, ty Maćku z Szydłowca! — wołał nagle — cicho siedź, a nie mów nic!

Ten Maciek był to rosły i wielki chłopak, burzliwy i niespokojny.

— Szydłowita, powiedz dalej! — rozkazał Łysek, widząc, że Maciek się kręci, i dla przykładu dosięgnął go laską przez innych.

Nuż Maciek mruczeć bez wytchnienia:

— Mutuum dato, cui des videto — rad pożyczaj tylko człeku dobremu, ale patrz, by nie każdemu. Beneficii accepti memor esto. Ad praetorium stato — bądź wdzięczen daru wziętego, rad stawaj u ratusza sądownego. Utere virtute. Iracundiam tempera — cnoty na każdy czas pożywaj, od wszelkiego się gniewu wstrzymaj! Trocho lude. Aleas fuge — pókiś młody cygawe graj, kart, warcabów, kostek niechaj.

Hieronim, przestraszony taką uczonością, spytał swego sąsiada najbliższego, Tomka z Pacanowa, czyli Pacanowity:

— Wszyscy wy to tak dobrze wiedzieć musicie?

— A ino! — burknął Tomek, spojrzawszy nań z pod płowej czupryny. — O! aż dotąd!—i pokazał mu na książeczce.

Ale magister huknął:

— Pacanowita! Praeceptum nobis lege!

A że w izbie jakiś rumor znów się zaczynał, więc mocno zakołatawszy kijem w którąś ławkę, krzyknął groźnie:

— Pax, djablęta!

— Sameś łyse djablę — warknął jakiś żak blisko Hieronima.

Inni się śmieli w kułak. Pacanowita zaś, bąkając, czytał dalsze przepisy z książki:

— Con... vi... vare... raro. Quod... satis est... dormi. A rzadko bądź godownikiem. Co potrzeba tylko sypiaj.

— Bene — rzekł magister. — A patrz w książkę drugi raz.

Książkę ten i ów miał, ale nie wszyscy. Magister mówił:

— Co się wykłada: bankietów nie czyń, nie szalej. Co grosz masz, to go odłóż, zamiast u przekupki na rynku pierniki kupować.

Tak lekcja szła dalej. Katon była to książka, od której się zaczynała nauka w wiekach średnich i na początku nowszych. Wszyscy chłopcy całej Europy: od Anglji, przez Francję, Hiszpanję, Włochy, Niemcy aż do Polski, na której się Europa kończyła, uczyli się z tego Katona. Wydawano go od czasu wynalezienia druku niezliczoną ilość razy w całej cywilizowanej Europie.

— Vino te tempera! — wołał mistrz. — Jakobyś rzekł: nie bądź pijanicą! W pijaństwie jest studnia wszelkiego złego.

A żacy powtarzali:

— Słowo z przysięgi chowaj, a wina miernie pijaj.

Hieronim wytrwale wkładał się w nauki. Jedna geometrja i śpiew nie były zbyt nudne. Reszta mierziła go nieznośnie. Było mu duszno, trudno, ciasno. Nie wiedział, co mu tak dolegało: wszystko. Ale co miał począć? Było w tem jednakże coś, co go trzymało. Sam nie zakosztował jeszcze prawdziwej, pięknej nauki, ale wokół niego latały w powietrzu, jak puchy wiosenne, jej światła, jej echa. Ciągnęło go i trzymało to życie miejskie, tak żywe, tak barwne, tak odmienne od wszystkiego, w czem żył dotąd. Jakoś mimowoli przypominały mu się dawne lekcje wędrownego bakałarza. Wprędce umiał Katona, i to tak dobrze, jak najlepsi z jego kolegów.

Sprawa z Kasprem.

Samuel, gdy się dowiedział, że Hieronim wpisał się, ucieszył się i zaraz począł nalegać, aby się rektorowi akademji poskarżył na owych pachołków, iż go ranili. Ale Hieronim obruszył się:

— Już mi się prawie zgoiło! Com to,

baba? Żebym się o taką rzecz żałował, zamiast tych zbójów pobić?

— Tak się nie robi — przekładał mu Samuel—prawo od tego jest, aby ich pokarało.

Szli ulicą, i Hieronim rozglądał się po tem, co się działo, zamiast odpowiadać. W końcu rzekł:

— Pieniać się nie lubię. I skarżyć się nie lubię.

— Nie znasz prawa! — zawołał Samuel. — Żebyś wiedział, jakie jest sprawne, a jak każdą rzecz wyrozumieć potrafi i rozeznać, by najwięcej splątaną, takbyś nie mówił.

Wtem zatrzymały się koło nich dwie dziewczyny, mieszczki.

— To ty, Samuelu! Nigdy nie przychodzisz!—zawołała młodsza, biorąc Samuela za rękę i śmiejąc się. Była wzrostu tego niemal, co Samuel, wyższa od Hieronima.

— A, Bietka... — rzekł Samuel. — Kędy idziesz?

— Do naszego ogrodu na piaskach z Magdzią—odpowiedziała.

Hieronim odwrócił oczy, jak ukłuty. Jak można tak się śmiać ciągle i tak mówić jakby się śpiewało? Bietka miała oczy bure, bardzo jasne, jak bywa piwo marcowe, i śmiejące się usta, czerwone, jak mak. Ale nawet się nie widziało jak wygląda: tak biegła z niej wesołość, roześmianie, tak jasno było w jej oczach. Hieronim nie patrząc, słyszał ciągle dzwoniący głos Bietki:



.... **Wtem zatrzymały się koło nich dwie dziewczyny, mieszczki...**

— Przyjdźże, Samuelu! Nigdy nie przychodzisz! Jak mi Bóg miły, nie byłeś u nas od Wielkiejnocy. Tylko snać do kiełbas i jaj rad zaglądasz, a jak ich nie masz, to już o nas zapomniałeś. Przyjdziesz?

— Czasu miałem mało — tłomaczył się Samuel zakłopotany.

— Ale teraz przyjdziesz?

— Przyjdę...

D. c. n.

PURPUROWE PŁOMIENIE.

OPOWIADANIE PRAWDZIWE

przez J. P.

ROZDZIAŁ I.

Bohaterski czyn.

„Persja” minęła już Sandy Hook. Potężny parowiec linji Hamburg — Ameryka szedł obecnie połową siły swych olbrzymich maszyn, gdyż wchodził do portu w Nowym-Yorku. Jak okiem sięgnąć, roztaczał się ruchomy las masztów na statkach różnych typów; poza nim widniały olbrzymie pływające doki dla wielkich parowców, kursujących na rzece Hudson. Małe statki portowe przecinały szybko w różnych kierunkach spienione fale zatoki, niknąc nagle w pianie przelewającej się przez ich pokład, aby potem wynurzyć się, jak kadłub foki. Ze wszystkich stron jęczały syreny, a na tle tych głosów basem huczały sygnały olbrzymów oceanu.

Port w Nowym Yorku jest bramą nowego świata. U jego wejść stoi, podarowany przez Francję, olbrzymich rozmiarów posąg wolności z pochodnią, której czerwono-żółte promienie oświecają w nocy całą gładką powierzchnię zatoki, począwszy od wyspy Wolności i wskazują drogę ku obcej, szybko postępującej cywilizacji naszych czasów.

Z czubka głowy tego posągu roztacza się jeden z najwspanialszych widoków na kuli ziemskiej. Czarne olbrzymie budowle z miljonami światełek wyglądają, jak zabawki cyklopów; dzielą je ulice, wydłużające się w nieskończoność, jak wstęgi świetlane. Rzucają się przedewszystkiem w oczy dwie główne arterje ruchu w tem cztero-miljonowem mieście, są to: Broodway i ulica siódma, po których bez ustanku krążą tłumy ludzi. Są one wzorem tych wielkich arterji, które przecinają Amerykę północną, od Atlantyku aż do Oceanu Spokojnego.

Nowy York posiada szczególne znaczenie i potęgę, gdyż jest pierwszem przęsłem mostu, łączącem ze sobą dwa światy: europejskie wykształcenie, tradycja i delikatność znikają tutaj, przeciw nim zaś występuje rozkazująco z poczuciem swej siły — miasto czynu.

„Persja” zatrzymała się, poczem przyciągnięto ją powoli na linach do brzegu. Liczni pasażerowie robili przygotowania do lądowania. Robert Molski, młody majtek, który przybył na pokład „Persji” ze statku, na którym młodzi marynarze odbywają praktykę żeglarską, stanął przed kapitanem.

— Jeśli masz pan ochotę, pozwolę ci zwiedzić miasto — rzekł zczerniały od wi-

chrów morskich oficer. Masz pan urlop, dopóki „Persja” nie przyjmie nowego ładunku. Oto pańskie oszczędności i świadectwo majtka na pokładzie „Persji”. Ostrzegam jednak, abyś pan nie dał unieść się żądzy przygód; jesteś dobrego pochodzenia i masz widoki na szybki awans na naszym statku. Proszę pomyśleć o tem wszystkiem i do tego stosować swoje postępowanie.

Gdy Robert Molski opuścił okręt, udał się do biura portowego, gdzie każdy musiał pokazać swoje papiery, jak również pewną przepisaną kwotę pieniędzy, bez której nie wolno było wstąpić na ziemię Stanów Zjednoczonych. Było to widomym znakiem panowania w tym kraju dolara, za którym każdy goni, a którego wszechmoc druzgocze wolę jednostki.

Młodzieniec znalazł się nagle w potężnym wirze Nowego Yorku i rozmyślał, gdzie ma zwrócić swe kroki. Sternik polecił mu dobrą oberżę, gdzie mógł znaleźć za dziesięć dolarów tygodniowo skromne lecz przyzwoite utrzymanie. Tam mógł spokojnie obmyślać dalsze plany na przyszłość.

W kilka dni po przybyciu Robert, włócząc się bez celu po ulicach, znalazł się w pobliżu Union Square'u, gdy wtem z dolnego miasta wypadł oddział straży ogniowej. Pomimo, iż niełatwo było przecisnąć się przez zwarty tłum, udało mu się jednak, zawdzięczając swej zręczności,



Widok Nowego Yorku w nocy.

dotrzeć do hotelu Florence, skąd ujrzał, jak ogniste języki płomieni lizały olbrzymi trzynasto-piętrowy budynek handlowej firmy „Parker" i szerzyły na wsze strony dzieło zniszczenia.

Piękny to był w swej grozie widok! Z głuchym trzaskiem waliły się wewnętrzne schody, wobec czego wszelka akcja ratunkowa zdawała się być niemożliwą. Strumień wody z sikawek parowych nie sięgał wyższych piętr „drapacza nieba". Uwięzieni tam ludzie wołali próżno o pomoc, której udzielić im nie było sposobu i śmierć ich zdawała się być niechybną. Nieszczęśliwi starali się wydobyć na szczyt budynku, którego nie dosięgały jeszcze płomienie.

Chłopca wzburzył i przejął niewymownie widok, roztaczający się przed jego oczami. Poczuł niepohamowaną rządzę niesienia pomocy ginącym; pchany nią przedarł się przez zwarty tłum, aż do przyległego domu, zajętego przez strażaków, skąd czynione były ostatnie próby ratowania odciętych. Uruchomiono wreszcie przyrząd do zarzucania lin.

Robert wydostał się na dach. Stąd miały być przerzucone liny na szczyt płonącego budynku. Wysiłki te jednak ciągle zawodziły: nie udawało się zahaczyć liny. Płomienie ogarniały coraz wyższe piętra, i biedakom zdawało się, że nadeszły ostatnie ich chwile, gdy przypadkowo udało im się pochwycić koniec sznura i umocować za żelazną belkę zakończenia szczytu.

Za pomocą zarzuconego sznura dało się przeciągnąć mocną stalową linę, po której toczył się na bloku żelazny kosz. Któż odważy się wsiąść weń, aby ratować nieszczęśliwych z płomieni. Dzielni strażacy byli przygotowani na wszystko, ta przeprawa jednak groziła niechybną śmiercią. Ogłoszono trzysta dolarów nagrody, lecz nikt nie wystąpił ze zwartych szeregów. Wtem wybiegł młodzieniec w stroju marynarza, wołając:

— Pozwólcie mi panowie sprobować, należę do okrętowej straży ogniowej!

I bez chwili namysłu, włożywszy na twarz maskę ochronną, wsiadł do kosza, który zaczął posuwać się nad przepaścią.

Oczy 50 tysięcznego tłumu spoczęły na odważnym marynarzu, który nie zawahał się narażać życia, aby ratować obcych sobie ludzi.. A płomienie wzbijały się wyżej i wyżej. Czy uda się ten śmiały czyn? Chwile upływały w śmiertelnem oczekiwaniu, gdy wtem lina zadrżała, i kosz powrócił, wioząc omdlałych, czarnych od dymu ludzi. Trzy razy powtórzyła się ta straszna podróż, i dziewięć istot ludzkich zostało uratowanych; w tej liczbie i Robert, choć z zwęglonem ubraniem i oparzeniami na całem ciele.

Powietrze rozdał trzykrotny okrzyk na cześć młodego majtka. Po całym Union Square'u rozległo się:

— Cześć młodemu marynarzowi!

Piękny czyn był spełniony. Ze wszystkich stron wyciągały się ku Robertowi przyjazne dłonie, które on ściskał nawpół jeszcze przytomny. Nie zdawał sobie nawet sprawy, jak znalazł się na ulicy i jak zaprowadzono go do naczelnika najbliższego oddziału straży ogniowej. Nagroda została mu przyznaną i, prócz tego polecono zgłosić się do biura, gdzie miał otrzymać korzystną posadę. Zanotowano adres jego mieszkania, następnie zaś samochód odwiózł go do poblizkiego szpitala, dla dokonania opatrunku oparzelin.

(D. c. n.).

SŁONIE.

DOKOŃCZENIE.

Gdy indyjscy książęta lub sam wicekról udaje się na polowanie na tygrysy, odbywa się ono z dużą liczbą słoni. Tworzą z nich wielkie koło dookoła dżungli, gdzie ukrywa się tygrys, i zbliżają się coraz bardziej do punktu środkowego, aż wreszcie niby dużym, grubym murem otoczą drapieżcę. Jeżeli uda się tygrysowi przedrzeć przez otwór w tym pierścieniu, wtedy nieraz rozszarpuje jednego z poganiaczy, idących z tyłu pieszo. Lecz dla jeźdźca na słoniu rzadko staje się niebezpiecznym, woli, jeżeli jest ze wszystkich stron szczuty, chyłkiem się wymykać, czołgając po ziemi. Gdy wypłoszą go z gęstwiny, pada pod strzałami myśliwych.

Gdy niedawno zmarły król angielski w roku 1903, koronował się na cesarza Indji, w Delhi odbywały się wówczas wielkie uroczystości, do których przygotowywano się od wielu lat.

Między indyjskiemi książętami wynikły prawdziwe zapasy we współubieganiu się w przepychu i bogactwie. Przed Delhi stanęło nowe miasto z kosztownych, olbrzymich namiotów, z mieszkaniami, ulicami i placami, by po kilku dniach zniknąć z powierzchni ziemi.

W dzień uroczystości koronacyjnej przez ulice Delhi ciągnął jeden z najwspanialszych pochodów, jakie kiedykolwiek świat widział. Na przodzie, na wysokich słoniach, jechał książę Connaught, jako zastępca swego królewskiego brata, który sam nie był obecny i wicekról lord Curzon ze swą młodą małżonką; siodło podobne było do złotej świątyni z tronem królewskim; po nich następowali wszyscy panujący książęta i maharadżowie indyjscy w szatach, z drogocennej złotej brokateli, usianych złotemi kamieniami.

Wielkie, poważne słonie, niosące na swych grzbietach wysokie osobistości, przez tłumy wielu setek tysięcy Indusów i mahometan, wyglądały z nad głów widzów i nad lasem łanc, jak olbrzymie poruszające się kolosy i podnosiły jeszcze i tak imponujący przepych pochodu. Ciała ich prawie ginęły pod kosztownemi pokryciami, przeładowanemi złotemi i srebrnemi haftami, a na szyjach kołysały się złote łańcuchy i kwasty; trójkątne chusty zwieszały się z ich czół, aż do pozłoconych lub przybranych metalowemi łuskami kłów. Obładowane indyjskiemi skarbami, złotem i djamentami, jedwabnemi pokryciami z Benaresu i perłami dwu wybrzeży Bahreinu i Cejlonu, szły one z powagą, jakgdyby czuły, jak są niezbędne, kiedy potrzeba wywrzeć głębokie wrażenie na narody Indji.

Dziki słoń może dożyć stu piećdziesięciu lat, oswojony zaś, zwykle nie więcej, jak osiemdziesiąt. Ponieważ nadzwyczaj rzadko można spotkać szkielet słonia, więc Syngalezi na Cejlonie wierzą, że sło-

nie same grzebią swych zmarłych. W niektórych okolicach zaś ludzie uważają je za nieśmiertelne. W rzeczywistości jednak stary słoń, czując, że koniec życia się zbliża, wyszukuje sobie trudno dostępne miejsce we wnętrzu lasów lub na brzegu bagien, gdzie pewny jest, że mu nikt w rozstaniu się z życiem nie przeszkodzi.

Kto widział w Indjach oswojone słonie, ten musi je polubić i podziwiać ich poczucie obowiązku, dobroduszność i cierpliwość. Gdy nie pracują, stoją wówczas przywiązane na podwórzu lub w parku pod cienistemi drzewami; ich dozorcy czyszczą je, karmią i prowadzą rano i wieczorem do picia.

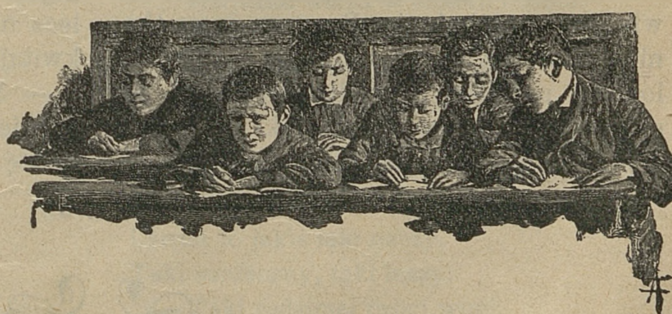
Na jednej z tylnich nóg ma słoń kółko żelazne, a te przytwierdzone jest łańcuchem do pala; potężny ten pal jest zupełnie biały, gdyż od dziesiątków lat ociera się słoń ów swą grubą skórą, a dookoła wydeptany jest w ziemi głęboki rów.

Być może, że obecny dozorca jest wnukiem człowieka, który tego słonia pozbawił wolności, albo starym człowiekiem, który swych wnuków uczy, jak się obchodzić z oswojonemi słoniami. Taki słoń widział całe pokolenie mijające. Czy też on sobie przypomina czasy, kiedy był na wolności, wędrował ze swym stadem przez wielkie ciemne lasy i zuchwale deptał trzcinę bambusową, zagradzającą mu drogę? Teraz słucha brunatnego człowieka, któremu mógłby łatwo jednem stąpnięciem nogi rozmiażdżyć klatkę piersiową.

Czy przysłuchuje się jeszcze wabiącym głosom swych wolnych krewniaków, pędzących z wyciągniętemi trąbami przez dżungle? Teraz biedak nosi strój więźnia i jest otoczony takiemi samemi więźniami. Być może, tęskni wciąż jeszcze za lasem i wolnością, być może spodziewa się jeszcze, że znajdzie się kiedyś wśród wolnych swego plemienia i będzie na swobodzie pozdrawiał słońce, wschodzące nad dalekim państwem Indji.

Marja Buyno.

KOLEDZY.



Ciąg dalszy.

Ile razy blask tych promieni pobiegł w stronę chorego, wysoka, zimna postać cofała się w tył, by za chwilę znów posunąć się naprzód. Poczęła się walka, straszna, zawzięta... Lecz promienie stawały się bledsze, coraz słabiej przedzierały się przez osnuwające ją opony, nieuchwytne ręce coraz chyżej snuły swoją tkaninę...

— Boże! - jęknął Zygmunt i rzucił się naprzód; doskoczył do fotelu i drżącemi rękami rwać począł szare opony... Targał je, raniąc ręce, gdyż mimo swej

pozornej delikatności, twarde były, silne i ostre.. Co za szczęście! Mniej ich już! Oto zdarte są już z bladej twarzy, od której biją blaski tak silne, że zimna pani, ściągnąwszy skrzydła, cofnęła się aż do progu. Lecz nie odchodzi: swemi płonącemi, lecz zimnemi, jak lód, oczami, gasi promienie bladej twarzy matki, pokrywa je szklistą powłoką...

Teraz chłopiec walczyć musi z dojmującem zimnem, które odbiera władzę jego rękom i z mglistemi oponami, które powoli i jego otulać zaczynają... Przy tem powieki ciążą mu, jak ołów, zaledwie z trudem największym może im nakazać posłuszeństwo... Zimna pani znów się zbliża...

Zygmunt czuje, że niedługo nie będzie w stanie walczyć... rozpacz go ogarnia... Lodowate oczy patrzą nań drwiąco... Chory rzuca się niespokojnie na łóżku, wyciąga ręce...

— Ratuj! — wybiega z jego spieczonych warg...

— Boże! Czyż nic już zrobić nie mogę! Czy mam ustąpić?

— Walcz! — szepczą bezsilne usta matki.

Więc znów zaczyna walczyć rozpaczliwie, bez wytchnienia. Rozrywa szarą tkaninę, topi swym gorączkowym oddechem lodową powłokę, a myśli, pragnienia, postanowienia, przysięgi, jak ptaki wybiegają z jego umęczonej duszy.

— Niech żyje! Odtąd będę mu wiernym przyjacielem! Nie odstąpię go w żadnym nieszczęściu! Niech żyje! Za jego życie oddam wszystkie moje radości, wszystkie moje osobiste pragnienia. Oddam życie swoje na usługi innych na zawsze! Nie będę miał dla nikogo słowa potępienia! Wyrzucę z mej piersi najmniejsze dźbło nienawiści, najmniejszą kropelkę zawiści...

A z serca matki płynęły słowa błagania i rozpaczy:

— Nie zabieraj mi go! To jedyne me szczęście! Oddam za niego każde tchnienie mego życia, wezmę na siebie wszelkie trudy i męczarnie... niech tylko on będzie ze mną...

Lodowata pani cofała się coraz bardziej, kurczyła, malała... Lecz wciąż jeszcze, przyczajona czyhała u proga... A tu szept znów jakiś przyłączył sią do dwóch głosów, tworząc chór zgodny, mimo że z tak różnych piersi wychodził.

— Jeśli reszta moich dni na tym świecie coś warta, z radością je oddam, o panie! Niech moje stare oczy nie ujrzą więcej światła dnia dziennego, niech słońce nigdy więcej mej starej głowie nie świeci, lecz niech on, ten kwiatuszek, ledwie zakwitający, żyje i słonkiem się cieszy...

— Mamo!

Wielkim wysiłkiem matka przerwała resztę pęt i stanęła przy łóżku.

(D. c. n.)

TEOFIL LENARTOWICZ.

DZWON ZYGMUNTA.

Zamek, co skałę obsiadł smoczą,
Pod niebo czarną wyniósł wieżę,
Podeń się miejskie domy tłoczą,
A ów, by ojciec, dziatwy strzeże.
U nóg mu polska rzeka sławna,
Poszumna Wisła, zbożopławna;
A fale onej, ni to kmiecie,
Garną się pod tę zamku skałę,
Modre, to siwe, to raz białe,
I w dal wesoło rwą po świecie;
A słonko boże świat weseli,
I śnieg od skrajnych Tatr się bieli.

A w mieście naszem gwar nielada,
Świecidła Niemczyk swe rozkłada.
To Serb. pod bramą gdy zasiędzie,
Na onych wdzięcznych gęślach gędzie.
Tam miodu kipi wonny wrzątek,
Gdzie orszak wiedzie się swadziebny,
Tam, jedno piątek czyli świątek,
Naród się garnie na targ chlebny,
Jako to szczery skarb lechicki:
Ta sól wielicka, chleb prądnicki
Tu pański kozak oczajdusza,
Na Ukrainę z lisem rusza.
Tam, kędy żaki a doktory
I trybunalska stawa rzesza,
Stańczyk swój kubrak różnowzory
A swoje sceptrum śmiechu wmiesza;
Temu i temu coś przymówi,
Co choćby rad człek nie odpowie.
Nawet i króla Ichmość gładko
Obdarzy swoją kratką, łatką;
Jako to w Polsce wolne słowo,
Byś jeno sam nie podrwił głową:
A k'temu żeć już w błaznów cechu,
Żeby dworować a do śmiechu.
To Włoszek wdzięczną brzęknie mową
W weneckim stroju kawka szczera,
Co go weneckim djabłem zową,
A kmieć nań z trwogą się obziera.
Niemieckie mieszczan krasne stroje,
Wymyślne wierę, dziwne szaty,
To żółte łaty, czarne łaty,
I ni to czepce, ni zawoje.
A w mięsopustnej tej czeredzie,
Co się na rynek gwarnie tłoczy,
Skrzydlaty wpośród husarz jedzie,
Zbroica lśni aż razi oczy;
I tak we skrzydłach na gród zmierza;
Pół orła wrzkomo, pół rycerza.

Nad miastem zamek siadł Wawelski,
Gdzie gospodarzy król tej ziemi,—
A w rynku Pani dom anielskiej
Pomiędzy dziećmi stanął swemi.
Marjacka wieża w środku miasta,
Jakoby dolin kwiat wyrasta;
A pod jej boki, za jej kraty,
Kamienne legły antenaty.

Z kościelnych wierzyc na świat cały,
Co ranek wdzięczne brzmią hejnały,
I świat to jakiś taki naszy,
Taki serdeczny, taki laszy,
Taki rodzimej pełen woni,
Że w nim jaskółką serce goni.
I błoga ci ta błoń rumiana,
I błoga ci ta woń węglana.
I takbyś wiatru w piersi chwytał,
I tak ci Polska w serce wchodzi,
Żebyś tych starych z głazów pytał:
Jako poczciwym żyć się godzi.

(D. c. n.)

TRESURA ZWIERZĄT.

□ □ □

W jednym z paryskich teatrów odbywało się przed paru laty nadzwyczaj ciekawe przedstawienie: po podniesieniu kurtyny, ukazywało się na scenie miniaturowe miasteczko, w którym niczego nie brakowało: ani typowych biurowych budynków, ani ratusza, ani stacji kolei, ani nawet kawiarni.



Niezwykły zaprząg.

Na tem tle rozgrywał się szereg komicznych epizodów. Był tam gość, który na tarasie kawiarni kazał kelnerowi podać różne wyborowe potrawy i ulotnił się. Zauważył to policjant, który już ramieniem sprawiedliwości sięgał po przestępcę, gdy wtem obaj wpadli na dwóch podróżnych, śpieszących się bardzo i tragarzy niosących ich pakunki.

Udekorowany urzędniczą szarfą burmistrz, który chciał przywrócić spokój otrzymał sam uspokojenie swych rozgorączkowanych uczuć przez bardzo obfity prąd wody z sikawek, którym uczęstowali go dwaj strażnicy.

Jednak nie sama akcja wzbudza zachwyt i podziw w widzach, największe powodzenie mieli sami aktorzy, których wielkość była proporcjonalna do wielkości miniaturowego miasteczka. Odtwarzali oni swoje role tak zadziwiająco, że sala rozbrzmiewała entuzjastycznymi oklaskami, za co znakomici aktorzy podziękowania swoje wyrażali—szczekaniem i machaniem ogonków; następnie na czterech łapkach znikali za kulisami.

Jakto, aktorzy machali ogonkami i chodzili na czterech łapach?

Tak jest, gdyż wszyscy aktorzy: burmistrz, policjant, gość i strażnicy — były to pieski, odgrywające świetnie swoje role,

Zapytacie, czyż to możliwe, żeby zwierzęta, wprawdzie psy, znane z rozumu, ale w każdym razie zwierzęta, można było wyuczyć takich rzeczy?

Zdawien dawna widzieć można było w cyrku lepiej lub gorzej wytresowane zwierzęta. Ale jak wszystko, tak i tresura zwierząt idzie szybko naprzód: praca pojedyńczych jednostek powoli zostaje zamienioną przez zbiorowe szkoły tresury zwierząt.

Dzisiaj istnieją dla zwierząt, produkujących się w cyrkach, rodzaje szkół wyższych, w których otrzymują wykształcenie.

Mają tam wychowańcy wspaniale urządzoną salę gimnastyczną i muzyczną, uczą się tańca i sztuk, a po krótszym lub dłuższym pobycie w tak zwanej wyższej szkole stają się żonglerami, ekwilibrystami, albo akrobatami.

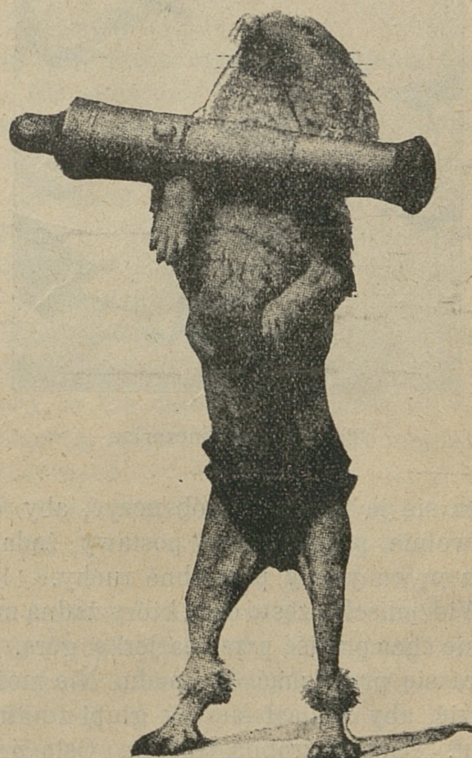
Ale trudno bardzo udzielają wstępu zwykłemu śmiertelnikowi do sanktuarjum wyższej szkoły tresury zwierząt. O ile komuś uda się otrzymać pozwolenie zwiedzenia takiej szkoły, napewno tego nie pożałuje!

Na wstępie, w parterowej sali, zamienionej na stajnię, stoją różne zwierzęta: śliczne ponny, kilka nizkich osiołków, obok melancholijna zebra zwiesza głowę, dalej figlują białe kozy, sarna, jeleń; jednym słowem istna arka Noego.

Na pierwszym piętrze daje się słyszeć straszny krzyk i wrzask. To papugi wrzeszczą, choć najbliższe ich sąsiadki, małe małpki, nic im nie zawiniły.

— Oto wychowańcy szkoły — mówi przewodnik, — którzy zostali nam powierzeni do wyszkolenia. Po kilku miesiącach dostarczamy już gotowych aktorów, wraz z kostjumami i przyborami, potrzebnemi do występów.

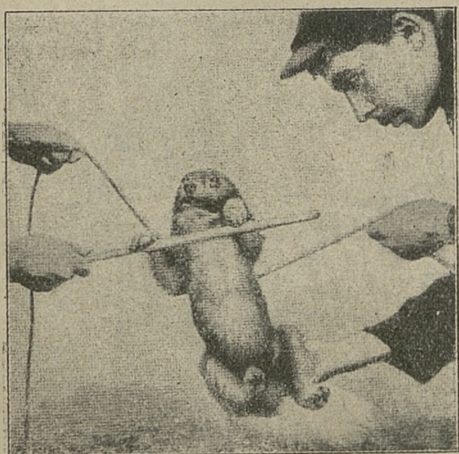
Nie wiele przesadzonem byłoby zdanie, że dziś, za wyjątkiem ryb oraz niższych zimnokrwistych, wszystkie zwierzęta są podatne do tresowania, to znaczy wszystkie rodzaje zwierząt, zależnie naturalnie, od danego osobnika.



Jeden z aktorów.

Udawało się tak głupie i nieinteligientne stworzenie, jak biały niedźwiedź i koń morski tresować razem, a obok nich dla porównania rezultatów, tresowano pudla i małpę. - Ale te, jakby się zdawało mierne rezultaty, które żądały najcierpliwszych wyczekiwań, oraz nieskończenie długiego przeciągu czasu, dały o wiele lepszy rezultat niż te, które przy tym samem postępowaniu otrzymano u wyżej wymienionych zwierząt mądrzejszych.

Tresura stosunkowo rozsądnych zwierząt, jak pies i małpa, wymaga niemałej miary spokoju, wyczekiwania, panowania nad sobą i cierpliwości. Tresujący dokłada wszelkich starań, aby zwierzęta nie bały się bata, lub kolczastych obroży, ale



Tresowanie pinczerka.

stara się je w ten sposób uczyć, aby dobrowolnie przyjmowały postawy żądane, oraz wykonywały potrzebne ruchy.

Widzieliście często osła, który żadną miarą nie chce przejść przez barjerkę górą, ale stara się przecisnąć od spodu. Nie można sądzić, aby znalazł się tak głupi z natury osioł. Nie, to zrobiła tresura. Osła przeprowadzano pod barjerkę, nad którą umieszczano deskę i ta uniemożliwiała przejście górą; po zdjęciu barjerki, osieł siłą przyzwyczajenia toruje sobie drogę dołem. Rzecz naturalna, że tresujący musi stale dobierać odpowiednie narzędzia pomocnicze, stosownie do spodziewanych rezultatów.

Jak naprzykład tu widzimy na obrazku, do nauczenia małego pinczerka bardzo trudnego skoku wstecz, używa się niewielu pomocniczych narzędzi.

Zwierzątko stawia się na miękkim dywanie, kładzie mu się przednie łapki na poziomym drążku i owiązuje się je pod łapkami dwumetrowym sznurkiem. Po przygotowaniu tresujący musi uspokoić pinczerka, głaskając go i pieszcząc, aby strach i nieufność, wzbudzona przez te eksperymenty, minęły. Tresujący zachowuje możliwą łagodność, gdyż jeden nieuważny wykrzyknik mógłby zepsuć na zawsze rozpoczęte dzieło.

Na komendę „hopla”! pinczerek odważa się skoczyć. Z chwilą, gdy się podniesie, następuje szarpnięcie za linę, drążek się podnosi trochę, a zwierzątko zostaje lekko pchnięte tak, że się wypręża. Wtedy pomocnik pogromcy lekko uderza pinczerka z tyłu. Wszystkie te manewry następują błyskawicznie po sobie, wprawiają zwierzątko w ruch obrotowy, a później następuje upadek na czterech łapach na dywan. Po jakimś czasie sznurek i drążek stają się zbytecznymi.

Aby trudne ćwiczenia nie znudziły się zwierzętom trzeba temu zapobiedz, zmieniając ćwiczenia kolejno i nagradzając dobrą wolę kawałkiem cukru.

(D. c. n.).

Zielone Świątki dawniej

(starodawne, ludowe wierzenia i podania).

Niemal wszystkie słowiańskie uroczystości i obrzędy, z pogańskich jeszcze czasów pochodzące, po zaprowadzeniu chrystjanizmu, połączone zostały z jakąś ideą religijną. Gdyż kościół, jak dobra matka, nie chcąc wydzierać swym dzieciom zabaw i obchodów niewinnych, a często pięknych, uświęcił je tylko i uświetnił przewodnią myślą religijną, lub pamiątką jakiegoś dogmatu naszej świętej wiary.

Z ideą i pamiątką Zesłania Ducha Świętego łączą się pastare pogańskie „Świątki" „Zielone Świątki", obchodzone w zamierzchłych owych czasach na cześć leśnych, wodnych i polnych boginek, zwanych „Gaiłkami", a którą to uroczystość nasi pogańscy praojcowie święcili w porze mniej więcej odpowiadającej obecnym świętom „Zielonych Świątek", i dlatego to nazwa tej uroczystości chrześcijańskiej pozostała niezmieniona, a choć znaczenie jej inne, brzmienie i niektóre obrzędy, zwłaszcza między ludem takież same, jak przed tysiącami laty, za patryarchalnych czasów Lecha i pierwszych Piastów, jako więc takie budzą zagasłe wspomnienia i echa dalekiej, lecz drogiej nam przeszłości.

Owo majenie tatarakiem, zielenią i kwiatami naszych domów, mieszkań, bram, a śród ludu nawet narzędzi rolniczych, wozów, studni i płotów w dni „Zielonych Świątek" pochodzi właśnie z czasów pogańskich, kiedy przypuszczano, że owe boginki „Gaiłki", posiadają w te dnie moc większą, niż zazwyczaj, domagają się czci, ofiar i obrzędów.

Uroczystości te cechowała wówczas nadzwyczajna wesołość. Gry i zabawy, którym szczególnie w tym czasie lud oddawać się lubi, są zaledwie słabem odbiciem obchodów i igrzysk, obserwowanych w starej Słowiańszczyźnie.

Niestety prócz ogólnego majenia zielenią, nie wszędzie i niewiele pozostało obrzędów, dotyczących świątek „Gaiłek". W Księstwie Poznańskiem, na Kujawach i w okolicach Siedlec w drugi dzień Zielonych Świątek pędzą wołu, przybranego w zieleń, przy okrzykach i nawoływaniach:

— Raduś! Raduś!

Gdzieindziej stroją rogi bydła w kwiaty, wianki i bukiety. W Kieleckiem zaś, pastuchy w ten dzień obficie raczą się wódką i bawią, co jest właśnie śladem igrzysk starożytnych.

Do tego samego rzędu zaliczyć trzeba zwyczaj ludowy, zachowywany przy źródłach Sanu i Dniestru, a polegający na tem, że w sobotę, przed Zielonemi Świątkami, pasterze zbierają się i pasą bydło w miejscu, gdzie najbujniej trawa rośnie, a na której od zimy noga żadnego bydlęcia nie postała. Gdy bydło, dorwawszy się wybornej paszy, spożywa ją chciwie, pasterze wiją wieńce z kwiatów i trawy, stroją w nie krowy i przy wtórze wesołych pieśni wracają do domów.

Przed oborami, gosposie oczekują na bydło, któremu dają do lizania sól, pastuchów zaś częstują obficie wieczerzą i piwem.

W zapadłych miejscowościach naszego kraju, lud wiejski dotąd mniema, że jeziora, rzeki, oparzeliska i wogóle wody zaludnione są przez „rusałki", „świtezianki", „niemenki" i „wilejki", słowianie zaś południowi zowią je rozkosznemi „wilami".

Jedni utrzymują, że są to dusze dziewczynek, zmarłych bez chrztu, które po śmierci wyrastają w młode i piękne kobiety.

Inni mówią, że rusałki są to dziewczynki, na których za życia zaciążyła klątwa rodziców, a które siłą nieczystą, porwane w głąb wody, na wieki zostają żonami wodników. Utrzymują również, że w rusałki zamieniają się dusze kobiet, umierających w pierwszy dzień Zielonych Świątek.

Rusałki mają być piękne nadzwyczaj boginki, z rozpuszczonemi, czarnemi lub zielonemi włosami, które im spadają aż za kolana, w całej ich postaci jest coś powiewnego i przezroczystego. Wyobrażają je sobie również, jako siedmioletnie dziewczątka. Wszystkie te rusałki cudnie śpiewają, nawet długie ich włosy, które lubią rozczesywać, wydają czarujące dźwięki muzyki, zwabiającej nieświadomych podróżnych.

Kolberg powiada, że ludność, zamieszkująca okolice jeziora Powidzkiego, mówi o duchach w białych szatach i białych liljach we włosach, związanych złotą opaską, które zamieszkują to jezioro, a w okresie Zielonych Świątek pokazują się ludziom, płatają im różne figle, lub czarownym śpiewem pociągają nierozważnych w wodne głębiny.

Mickiewicz w poezjach swych również kilkakrotnie wspomina o rusałkach i wodnicach, opisując ich piękność i zdradziecką kość.

Nie zawsze jednak te istoty psocą i dokuczają, bo czasami, upodobawszy sobie kogo, czynią mu wiele dobrego, jak o tem świadczy wiele baśni i podań ludowych.

Na podgórzu Karpackim lud mówi o tak zwanych majkach, czyli mawkach, które na wiosnę, gdy śnieg zginie, biegają gromadnie po górach i dolinach, sadzą zioła, rwą i zdobią niemi głowę. Mają to być istoty dobre i uczynne, a szczególniej opiekują się chłopcami. Siedzibą ich są puste, górskie jaskinie, otwarte na dalekie przestrzenie. W jaskiniach tych wznoszą się pagórki, pokryte sadami i winnicami, obwiedzionemi złotemi łodygami czarniaowych kwiatów, mile pachnących. Szemrzą tam kryształowe potoki z perłowemi i srebrnemi mostami, poza któremi nad księżycowem jeziorem stoi biały zamek, w którego świetlicy „majki" siedzą, przędzą len, tkają płótno i szyją z niego powiewne szaty. A wszystkie te istoty, jako boginki pełnej wiosny, kwiatów i zieleni domagają się świąt, przeznaczonych wyłącznie ich czci, ich uroczystości, zaznaczającym się głównie na strojeniu wszystkiego zielenią i na wesołych bardzo wesołych zabawach, zwłaszcza młodzieży.

Przodkowie więc nasi ustanowili ongi dla nich „Zielone Świątki".

Zaznaczyć wypada, że wierzenia te i obrzędy rozpowszechnione były nietylko w dawnej Polsce, lecz i w całej starożytnej Słowiańszczyźnie. U nas znano te igrzyska pod nazwą „ttado", u Czechów „letnie", u Starorusów „rusalja", u innych zaś plenion „turzyce". Dziś, większość tych obchodów znika. Pogańskie wierzenie w świetle wiary prawdziwej rozwiały się, lecz stara tradycja i podania w ustach ludu naszego żyją i przetrwają jeszcze niejeden szereg wieków, kołysząc polską duszę starą, swojską pieśnią, baśnią i echem tego, co było niegdyś, niegdyś...

Świerszcz.

Redaktor i wydawca: **Marja Buyno-Arctowa.** Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3